



**Niedzielnny poranek w Marui. Okolice jeszcze osłaniają ostatnie mroki nocy. Słychać w oddali pianie kogutów. W domu budzi mnie hałas krzątającego się w kuchni księdza Krzysztofa. Jako gospodarz, wstał pierwszy i sprawnie rozpoczął przygotowania do niedzielnej wyprawy pastoralnej.**

Ostatnia noc była wyjątkowo chłodna. Wydawać się to może dziwne, ale w klimacie tropikalnym też można dostać kataru i przeziębic się. Wstałem z łóżka, witając nowy dzień salwami kichnięć. Z głębi domu dobiegło mnie „Na zdrowie!”, . Teraz wszystkie poranne czynności potoczyły się utartym torem: modlitwa poranna, kubek gorącej herbaty, walizka z przyborami do odprawienia mszy świętej do ręki - i w drogę.



Parafia, w której obecnie się znajduję położona jest nad rzeką Sepik. Do wielu stacji misyjnych, których proboszczem jest już wspomniany przeze mnie ksiądz Krzysztof Morka, można dotrzeć jedynie łódką. Ruszam więc w kierunku rzeki. Na brzegu czeka na mnie, jak zawsze dobrze zorganizowany, proboszcz. Silnik już jest przymocowany, zbiorniki z paliwem rozstawione w odpowiednim porządku, aby zachować dobry ...

","

... balans łodzi. Wejście do łodzi przysparza mi wiele kłopotów. Od 5 miesięcy mamy w Papui Nowej Gwinei porę suchą, woda w rzece opadła ok. 3 m poniżej normalnego poziomu. Zatem zejście po stromym, gliniastym i obsuwającym się zboczach bez upadku, wymaga od nas nieco zdolności akrobatycznych. Szczęśliwie udało mi się pokonać te trudności.

Wprawnym ruchem ręki, pociągając za linkę, ksiądz Krzysztof uruchamia motor. I już w promieniach wschodzącego słońca, po spokojnej, leniwie płynącej rzece, mkniemy do umówionych wioszek na niedzielną liturgię. Po drodze zatrzymujemy się tylko na chwilę w kilku miejscach, aby przekazać ludziom pocztę, którą przywieźliśmy w ostatnim tygodniu z miasta. Po przeszło godzinnym spływie dotarliśmy do wioski Palembangi. Tu znowu musiałem wspinać się po „zboczu”, rzeki. Pomagał mi w tej wspinaczce jeden z liderów, który jest prawie o połowę niższy ode mnie. Wyglądało to nieco humorystycznie, zatem dzieci stojące nad brzegiem miały okazję do pośmiania się.

Ksiądz Krzysztof popłynął dalej. Przypłynię tu po mnie po zakończeniu Mszy św., którą odprawi w sąsiedniej wiosce.

Lider, który ma mnie zaprowadzić na miejsce celebracji liturgii, przeprosił mnie, że będę musiał chwilę poczekać, bo jeszcze się nie umył - wskoczył więc, tak jak stał, w spodniach i podkoszulku, do rzeki, pomachał trochę rękami, podrapał się po głowie. I już był wykąpany. Wszedł po drabinie do swego domu, aby założyć „niedzielne”, suche ubranie. I już był gotowy do drogi.

Głośny warkot silnika zwrócił naszą uwagę. Rozległ się nagle okrzyk: „Turyści!”, . Przed momentem nie było w ogóle widać ludzi, a tu w ciągu jednej minuty wzdłuż drogi, wiodącej do centralnej części wioski, kobiety, dzieci oraz kilku młodych mężczyzn zaczęło rozkładać „kramiki”, - plastikowe worki, na których układali rzeźby, korale, tradycyjne maski, przedmioty kultu i codziennego użytku. Handel z turystami jest jedynym źródłem dochodu dla mieszkańców wioski, toteż każda rodzina otwierała swój „kramik”, . Mój przewodnik na chwilę zawahał się: „Idziemy do wioski przed turystami czy zaczekamy, aż oni przejdą i pójdziemy za nimi?”. Starszy mężczyzna poradził nam ruszać natychmiast, co też zrobiliśmy. Typowa, polna droga prowadziła wśród pięknych bananowców i kokosów. Dawały one trochę cienia, przez co droga była wilgotna i śliska, jak posmarowana masłem. Szliśmy ok. 20 minut. Kiedy ludzie zobaczyli nas, szybko przekazali sobie wiadomość: „Ksiądz idzie!”, . Jeszcze tylko przeprawa przez most, którym jest zwalony pień drzewa nad rowem z wodą, i stanąłem przed kościołem, otoczony gromadą ludzi, wśród których była pokaźna grupka dzieci. Na powitanie, tutaj zwyczajem, każdy chce uściskać rękę przybysza. A ponieważ jestem dość dużych rozmiarów, co śmielsi dotykają moich ramion i poklepują mnie po brzuchu. Już przyzwyczaiałem się do tej formy powitania. I do tego, że dzieci, które widzą mnie pierwszy raz, uciekają w busz, a najmniejsze wrzeszczą przeraźliwie na rękach matek. Jednak zawsze po kilku minutach stajemy się dobrymi znajomymi.

Kościół znajduje się w centralnej części wioski. Usytuowany jest między dwiema pogańskimi świątyniami (tradycyjnymi „domami duchów”, ). Ze względu na częste powodzie podczas pory deszczowej, kościół, tak jak wszystkie domostwa, zbudowano na wysokich palach. Cała konstrukcja kościoła jest drewniana, jedynie dach pokrywa blacha. Wewnątrz muszę się poruszać bardzo ostrożnie, gdyż podłoga wykonana jest z bardzo słabego drewna i wszystko trzęsie się przy każdej zmianie pozycji.

Ustaliliśmy z liderami wioski, że najpierw będę słuchał spowiedzi. W tym czasie przyszła grupa turystów. Obejrzelni wioskę oraz towary handlowe i odjechali. Kobiety sprawnie zwinęły swoje kramy. Kościół powoli zaczął wypełniać się wiernymi.

Warto zaznaczyć, że w tej małej wiosce znajduje się kilka różnych grup wyznaniowych. Największą grupę stanowią katolicy, następnie to „Assembly of God”, „Adwentyści Dnia Siódmego”, Zjednoczony Kościół Zielonoświątkowców oraz wyznawcy tradycyjnych religii.

Na początku Mszy św. przedstawiłem się wszystkim w kościele. Zaznaczyłem, że przybywając pierwszy raz do tej wioski, chciałbym porównać ich zaangażowanie w liturgię, śpiew i modlitwę ze znanymi mi już z pracy duszpasterskiej miejscami. Taka informacja sprawiła, że odpowiedzialni za śpiewy podczas Mszy św. nieomal pozdzierali sobie struny głosowe. Śpiewali bowiem bardzo głośno, a wtórowała im grupa dzieci, które koniecznie chciały być lepsze w śpiewie od swoich starszych kolegów.

Kiedy zbliżało się już zakończenie Eucharystii, zauważyłem poruszenie na placu rozciągającym się przed kościołem. Od brzegu rzeki zbliżała się nowa grupa turystów i kobiety, które nie uczestniczyły we Mszy św. szybko powtarzały czynności związane z rozkładaniem „kramików”, . Jeszcze dziękczynienie po Komunii świętej, ogłoszenia, podziękowania za wspólną modlitwę oraz pełen entuzjazmu udział w liturgii i zakończyliśmy naszą poranną celebrację.

Ponownie, poruszając się powoli i w miarę delikatnie, doszedłem szczęśliwie do drzwi wejściowych. Poczujęm się pewnie dopiero, gdy zszedłem po drabinie i stanąłem na twardym gruncie.

Porozmawiałem z ludźmi przez chwilę, odpowiedziałem na mnóstwo pytań, dotyczących mojej pracy. Zostałem obdarowany kilkoma prezentami i w asyście kilkunastu osób wyruszyliśmy w kierunku biegu rzeki. Kiedy zbliżaliśmy się do Sepiku, usłyszałem znany mi głos - to ks. Krzysztof rozmawiał z grupą swoich parafian, zając przy tym soczysty owoc popo.

Ksiądz Krzysztof omówił jeszcze z liderami plan pracy pastoralnej na najbliższe tygodnie i, zabierając ze sobą kilka owoców i warzyw, ruszyliśmy w drogę powrotną do domu. Było już południe. Słońce piekło niemiłosiernie. Musiałem dobrze się okryć przed palącymi promieniami „złotej kuli”, . W połowie drogi zatrzymaliśmy się w wiosce, w której mieszka główny lider parafii księdza Krzysztofa. Jego żona urodziła córkę, toteż zaprosił nas do swojego domu, abyśmy zobaczyli dziecko, a przy okazji posilili się kilkoma bulwami jamu, który ugotowano na mleku kokosowym. Gospodarz domu rozłupał świeży orzech kokosowy i mogłem ugasić pragnienie wypijając z niego słodki i chłodny sok.

## Niedziela misjonarza

Wpisany przez Redakcja PNG  
wtorek, 01 marca 2005 21:28

---



~~-----~~